Płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15.VI.1987

11

Bibl. WSP
Abc C

Fot. UNICEF

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Jadę na wakacje, czy mógłby pan zaopiekować się moim pieskiem?

— Dżek przez cały rok nosił mi teczkę do szkoły, teraz i on ma wakacje.

— No, popatrzcie, Janek znowu mi się gdzieś zapodział!

● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ●

OPRÓCZ żył i tętnic w organizmie człowieka znajdują się również cienkie naczyńka krwionośne, zwane naczyniami włosowatymi. Obliczono, że łączna długość tych mikroskopijnych tunelików w ciele człowieka wynosi 100 tysięcy kilometrów.

●

NASZE mięśnie pracują nie tylko wówczas, gdy wykonujemy jakieś czynności, ale również kiedy stoimy. Ciało człowieka w pozycji stojącej utrzymuje aż 300 różnych mięśni.

●

SERCE to motor organizmu ludzkiego. Porusza się z prędkością 70 uderzeń na minutę i przepompowuje codziennie około 10 000 litrów krwi. Kurczy się ok. 100 000 razy dziennie. Jest wielkości pięści i waży średnio 300 gramów. Osoby prowadzące siedzący tryb życia mają serce mniejsze niż te, które zażywają dużo ruchu.

●

POWIEKI oczu człowieka mrugają samoczynnie mniej więcej co 6 sekund. W ciągu całego życia człowieka poruszają się przeszło 300 milionów razy.

PRZY WDECHU wchłaniamy do płuc pół litra powietrza. W ciągu dnia zużywamy przeszło 20 000 litrów. Szybkość oddychania zależy przede wszystkim od wieku człowieka. Noworodek oddycha mniej więcej raz na sekundę, a więc dość często. W wieku 15 lat oddychamy przeciętnie 18 razy na minutę.

●

TRUDNO w to uwierzyć, ale woda stanowi 50 do 70 procent ciężaru dorosłego człowieka. Jeżeli waży on np. 70 kg, to w organizmie jego znajduje się średnio 42 litry wody.

Człowiek może żyć bez jedzenia 40—50 dni, ale bez wody umiera w ciągu kilku dni.

●

WSZYSCY wiemy, że temperatura ciała zdrowego człowieka wynosi 36,6 stopni Celsjusza. Jednak na powierzchni różnych części ciała jest ona nieco niższa, np. na plecach — 36 stopni, na wewnętrznej stronie łokcia — 32 stopnie, na łydce — 31 stopni, przy nadgarstku — 28 stopni. Najzimniejszą częścią ludzkiego ciała jest nos. Na jego końcu temperatura wynosi 22 stopnie.

Nasza okładka:

Wszystkim dzieciom świata życzymy radości i zdrowia

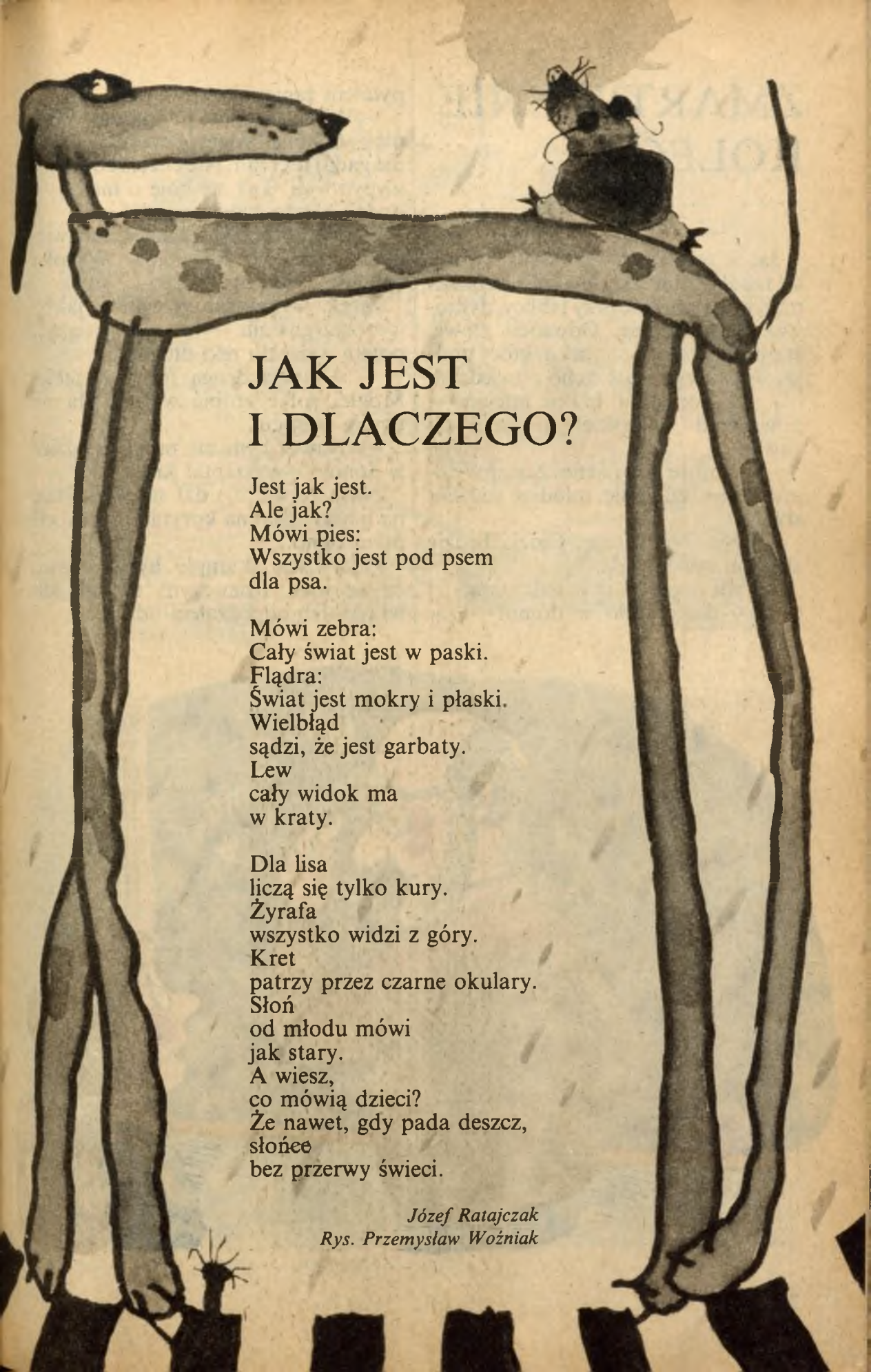

JAK JEST I DLACZEGO?

Jest jak jest.
Ale jak?
Mówi pies:
Wszystko jest pod psem
dla psa.

Mówi zebra:
Cały świat jest w paski.
Flądra:
Świat jest mokry i płaski.
Wielbłąd
sądzi, że jest garbaty.
Lew
cały widok ma
w kraty.

Dla lisa
liczą się tylko kury.
Żyrafa
wszystko widzi z góry.
Kret
patrzy przez czarne okulary.
Słoń
od młodu mówi
jak stary.
A wiesz,
co mówią dzieci?
Że nawet, gdy pada deszcz,
słońce
bez przerwy świeci.

Józef Ratajczak
Rys. Przemysław Woźniak

ZMARTWIENIE KOLEGI

Jacek spóźnił się do szkoły, co mu się rzadko zdarzało. Nauczyciel matematyki stał właśnie przy tablicy, dyktował nam zadanie. Odwrócił głowę, spojrzał pytająco na Jacka, który podszedł do niego i coś cicho powiedział.

— W porządku. Idź na miejsce — powiedział nauczyciel. I dodał po chwili:

— A może powinieneś zostać w domu? Masz, zdaje się, młodsze rodzeństwo...

— Nie. Nie muszę. Ciocia będzie się nimi opiekowała.

Usiadł obok mnie w milczeniu.

— Coś się stało w domu? — zapytałem zaniepokojony.

— Mamę zabrało pogotowie. Pewnie potrzebna będzie operacja... Tylko nie gadaj nikomu. Nie chcę, żeby mnie wypytywali. Tak się boję o mamę — dodał jeszcze zupełnie cicho.

— Nie masz się czego martwić. Teraz operacje się udają. Wysoka technika... i w ogóle...

Jacek wyjmował powoli i jakby w roztargnieniu — zeszyt, książkę, potem wziął do ręki długopis.

— A swoją drogą frajer z ciebie. Mogłeś sobie zrobić wolne... Ja na twoim miejscu...

— Nawet bym nie mógł usiedzieć w domu — wyszeptał Jacek.

Na przerwie nie dał się wyciągnąć na boisko. Stał na korytarzu i patrzył przez okno.

Oczywiście, kumple byli ciekawi, co się stało, dziewczyny też, ale ich wszystkich odpędzałem od Jacka.

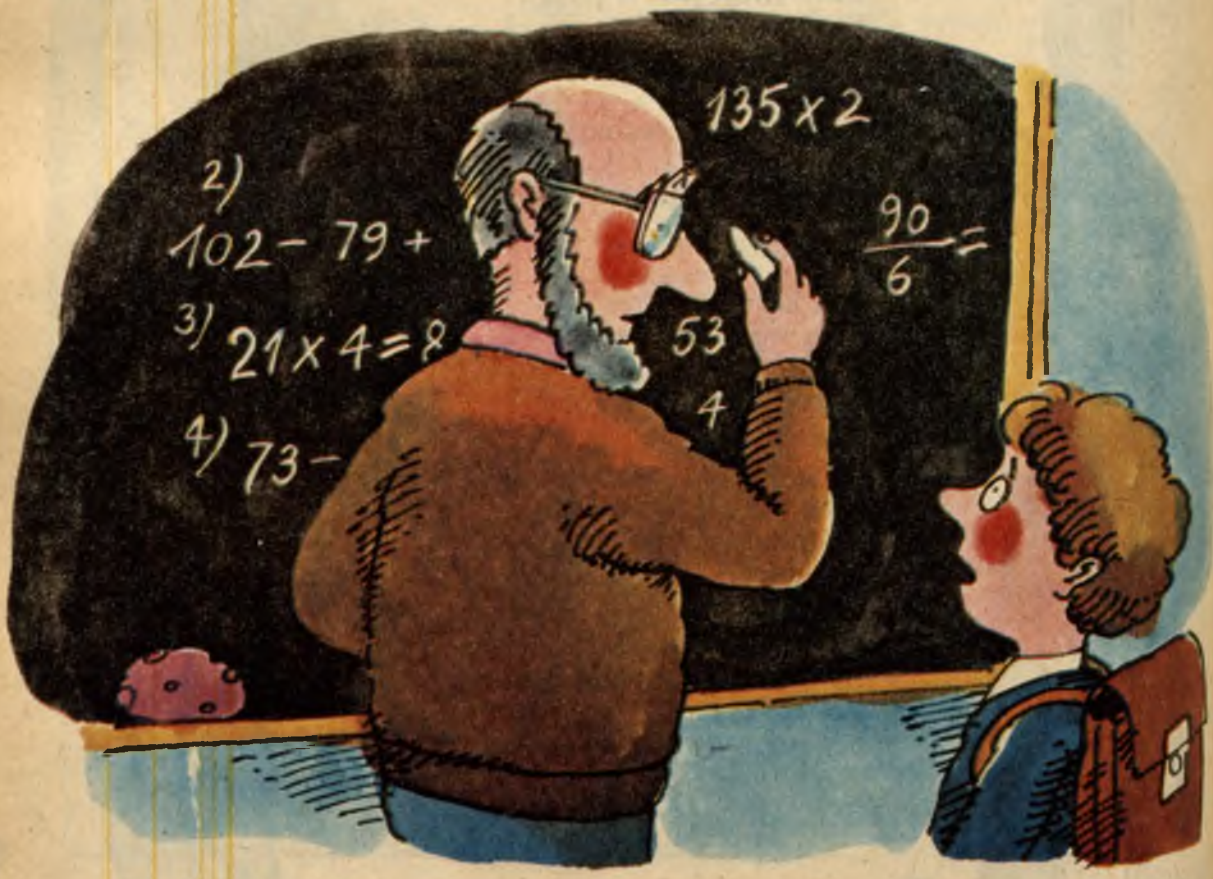

— Dajcie mu teraz spokój. Ma zmartwienie.

Przez chwilę stałem obok niego, ale potem chłopaki zaciągnęli mnie na boisko. Beze mnie nie było meczu.

Zresztą i tak nic mu nie mogłem pomóc.

Do końca lekcji był smutny i milczący.

— Jak zechcesz, wpadnę dzisiaj do ciebie — powiedziałem po wyjściu ze szkoły.

— Bardzo bym się ucieszył — odpowiedział.

Jednak nie dotrzymałem słowa. Maciek dzwonił, że ma dwa bilety do kina, miał iść z bratem, ale brat nie miał czasu. Okropnie chciałem zobaczyć ten film. Poszliśmy...

Potem już było za późno, zresztą musiałem odrobić lekcje.

Przed zaśnięciem przypomniałem sobie zeszły rok, kiedy złamałem nogę i musiałem leżeć parę tygodni w gipsie.

Jacek bywał u mnie codziennie i przynosił zeszyty z lekcjami, żebym nie miał zbyt dużo zaległości.

Moja mama podziwiała go.

— Masz prawdziwego przyjaciela — mówiła. — Inny wolałby iść gdzieś z kolegami, pograć w piłkę, obejrzeć film, a nawet poczytać książkę, a on poświęca się dla ciebie.

Byłem u niego parę razy w domu. Byłem zły, bo on prawie nigdy nie miał czasu. Czasem sprzątał, czasem zajmował się młodszym braciszkiem i siostrą, raz nawet zastałem go przy zmywaniu naczyń.

— Ale masz zajęcie! — zawołałem. — Jak dziewczyna!

— Dlaczego jak dziewczyna? Czy myślisz, że mam gorsze ręce, że zaraz wszystko potłukę...

Położył talerz na suszarce i powiedział:

— Może ty tego nie rozumiesz, ale moja mama za ciężko pracuje, żeby jeszcze w domu musiała wszystko robić.

— No tak.. — wybąkałem.

I zrobiło mi się trochę głupio. Jacek przecież nie miał ojca. Ojciec umarł parę lat temu i oni zostali sami.

A teraz Jacka mama w szpitalu...

Następnego dnia Jacek nie przyszedł do szkoły. Przez dwa kolejne dni też go nie było. Co dzień obiecywałem sobie, że wpadnę do niego, dowiem się co słychać, ale ciągle coś mi przeszkadzało. Akurat Marcin zaprosił mnie, żebym razem z nim obejrzał mecz. A on ma kolorowy telewizor. Następnego dnia chłopaki zaciągnęli mnie na boisko. Rozegraliśmy dwa mecze. Wróciłem taki zmachany, że miałem ochotę tylko na sen.

A potem Jacek przyszedł do szkoły. Tego dnia wypadła klasówka z matmy.

— W razie czego pomożesz — upewniałem się.

— Pomogę — powiedział krótko.

Na przerwie pobiegliśmy na boisko. Graliśmy w siatkówkę. Jacek też. Był jednak w niezbyt dobrej formie. Aż się chłopaki zaczęli niecierpliwić.

Po lekcjach powiedziałem:

— Wpadnij do mnie dzisiaj. Obejrzymy razem film.

— Nie mogę. Jestem zajęty.

— Pewnie sprzątanie — wyrwało mi się głupio.

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział i poszedł w swoją stronę.

Przy kolacji mama zapytała:

— No i co tam u Jacka?

— W porządku — powiedziałem, gapiąc się na telewizor. Leciała moja ulubiona bajka o wilku i zającu.

— Jego mama już zdrowa?

Aż mnie zatkało. Przecież ja zupełnie o tym zapomniałem. Nawet nie zapytałem go o to... Mojego najbliższego kolegi. Po prostu wyleciało mi to z głowy.

— Już wszystko dobrze — odpowiedziałem.

— Jest już w domu?

— Chyba tak... A może jeszcze nie... — bąkałem.

Popatrzyła na mnie i bez słowa pokiwała głową.

— Zaraz wrócę — powiedziałem i zerwałem się od stołu.

Naciągnąłem szybko kurtkę i pobiegłem do Jacka.

Zastałem go w kuchni. Przygotowywał kolację dla maluchów.

— O! — zawołał. — Cieszę się, że przyszedłeś. Myślałem, że już nie jestem ci potrzebny...

— Przyszedłem, żeby tobie pomóc. Mogę pozmywać albo odkurzyć, a może wynieść śmieci.

— Nie ma już nic do roboty. Teraz tylko nakarmię dzieciaki, położę spać i będziemy mieli czas dla siebie... A wiesz — dodał z ożywieniem — jutro mama wraca ze szpitala. Wszystko będzie dobrze...

— Widzisz? A tak się zamartwiałeś...

Uśmiechnął się. Wcale się na mnie nie gniewał.

Wanda Osuchowska-Orłowska
Rys. Jerzy Flisak

TEMAT: „WYCIECZKA”

Pani weszła do klasy. Czekaliśmy w napięciu. Prawie wszyscy byli zdania, że klasówka będzie na temat całodziennej wycieczki sprzed tygodnia. Ale tego właśnie się bałem. Mieli jednak rację. Ledwo pani na tablicy napisała „W”, rozszedł się po klasie szmer zadowolenia. A co miałem zrobić — ja?

W pierwszej chwili postanowiłem wstać i powiedzieć: „Nie byłem na tej wycieczce”. Jednakże zamiast tego zapisałem w zeszycie temat wypracowania, no i potem pisałem już dalej:

„Tak się niefortunnie złożyło, że akurat tato wyjechał na trasę na całe trzy dni (jest kierowcą ciężarówki), a mama pracowała na drugą zmianę. Ja musiałem więc przyprowadzić po południu swoją czteroletnią siostrzyczkę z przedszkola i zająć się nią aż do wieczora.

Byłem okropnie zły, ale nie okazywałem tego, żeby nie robić mamie przykrości. Rano odprowadziłem Hanię do przedszkola, załatwiłem zakupy, przywiozłem z magla bieliznę i przez cały czas nie pozwoliłem sobie nawet na cień myśli o wycieczce. Bo wiedziałem, że wtedy byłoby tak, jakbym nacisnął guziczek wyzwalający mój zły humor.

A w pół godziny po wyjściu mamy — dzwonek: sąsiadka przybiegła do telefonu. Bo u nas jest telefon jedyny w osiedlu, i czasem nawet nieznajomi dzwonią od nas w pilnych sprawach.

Nie wiem, czy to można nazwać podsłuchiwaniem, ale słyszałem przecież, że sąsiadka wzywała teraz pogotowie do „Wehikułu Czasu”. Mówiła, że atak serca. Zmartwiłem się piekielnie. Bo „Wehikuł Czasu” to wielki przyjaciel wszystkich chłopaków w bloku. Naprawdę to ten pan nazywa się Janas i jest już bardzo stary. Ale dwa razy w miesiącu przychodzi do naszej świetlicy blokowej i opowiada o powstaniach śląskich, o hitlerowskiej okupacji, o walkach i wyzwalaniu polskich ziem. A mówi tak, że każdy z nas czuje się jak przeniesiony w tamte czasy. Dlatego właśnie pana majora nazywamy „Wehikułem Czasu”. On o tym wie i wcale się nie obraża. A gdy przychodzi, świetlica jest tak nabita, że najtęższy matematyk nie potrafiłby wyliczyć, jak my się tam mieścimy.

Strasznie się zaniepokoiłem teraz. Major przechodził już pół roku temu zawał (biegaliśmy wtedy do szpitala sznureczkiem) i jeśli znów atak... Stałem więc przy oknie, patrząc na zegarek, to na ulicę. No, ale pospieszyli się. Jeszcze nie minęło 15 minut od telefonu, a już karetka zatrzymała się przed domem naprzeciwko.

Kiedy odjechali, chciałem zaraz biec i dowiedzieć się o stan chorego, ale bałem się, że mogę tam przeszkadzać. I dopiero kiedy wracałem z Hanią z przedszkola, spotkałem tę sąsiadkę, która wzywała pogotowie. Zapytałem, jak pan Janas się czuje.

— Już lepiej, już dużo lepiej — powiedziała. — Na szczęście pogotowie przybyło w porę. A biegłam do was z duszą na ramieniu, bo gdyby akurat nikogo nie było w domu, gdybym musiała gnać aż na pocztę... No, ale miałam szczęście. To znaczy major miał szczęście!

I kiedy to usłyszałem, spostrzegłem, że cały mój zły humor ulotnił się niespodziewanie. Bo czy można opłakiwać wycieczkę, kiedy fakt, że nie pojechałem, okazał się dla kogoś szczęściem?”

Za to wypracowanie dostałem piątkę. I pani wcale się nie gniewała, że to było właściwie nie na temat.

Maria Rosińska

SOSNA

Z ziarna
wyrosnę
w ogromną
sosnę.
Piach,
sucha ziemia,
susza w korzeniach.
Jestem
wytrwała,
pień mój
jak strzała.

Nad moim
czołem
chmurki
wesołe.
Ja kocham
słońce,
sióstr
mam tysiące.
Bór biegnie wstęgą wzdłuż widnokręgu.

Jerzy Kierst
Fot. Ryszard Kreyser

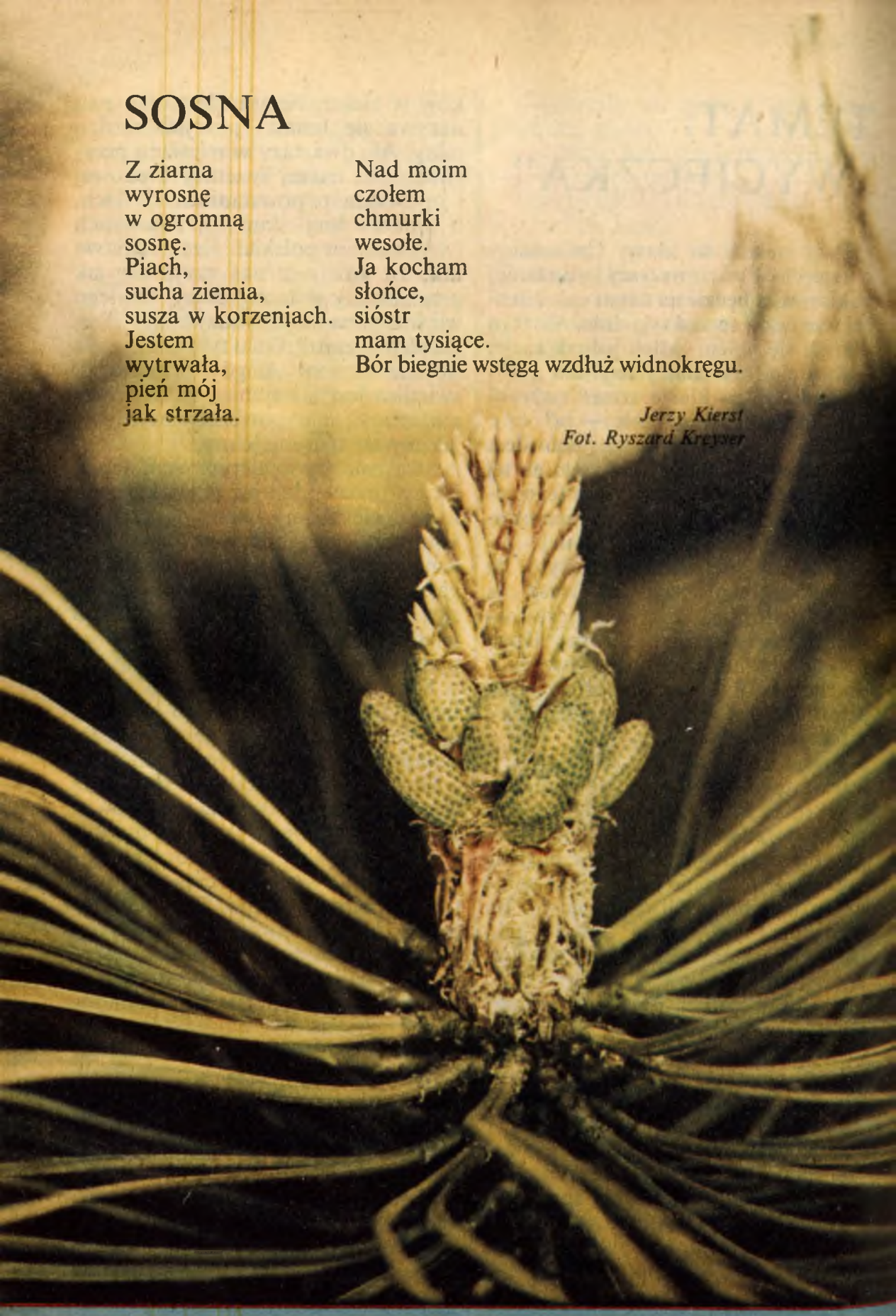

PO BURZY

Obaliła wichura w noc drzewo —
poszła mrucząc jak niedźwiedź za Giewont.

Było strachu, oj, było, po nocy,
kiedy piorun jak zbójnik wyskoczył!

Za nim drugi zza chmury, zza grani,
no i z pierwszym za czuby — i w taniec!

Ten miał złotą ciupagę, ten srebrną.
Oj, błyskały, błyskały przez ciemność!

Obaliła wichura w noc drzewo —
idźże sobie jak niedźwiedź za Giewont.

Jerzy Kierst
Fot. S. Uścińska-Siwczuk

JERZY KIERST, poeta, tłumacz, urodził się 30.IX.1911 r. w Chełmicy koło Włocławka. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Pracował jako nauczyciel języka polskiego w warszawskim gimnazjum, a w czasie wojny brał udział w tajnym nauczaniu. Po wyzwoleniu rozpoczął pracę w Polskim Radiu, z którym związany był przez wiele lat jako redaktor i reżyser audycji literackich. Debiutował jako poeta w 1936 r. Wydał ponad 20 książek dla dzieci.

W 1958 r. Jerzy Kierst otrzymał nagrodę Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży.

NA ZBOCZU

Las. W górę pnie się ścieżka cienista.
Prastare buki — kora srebrzysta.
Gęstwinę liści promień przebija,
a w tym promieniu grzeje się żmija.
Gdzieś niedaleko potok bulgocze —
szlifierz kamieni, a czasem skoczek.
Bór, który w ciszy w niebo wstępuje...
Żubr łeb opuścił — rogiem mech pruje.

Jerzy Kierst

Poznaliśmy się w samolocie przed trzydziestu laty. Na trasie z Warszawy do Poznania.

Pan Jerzy Kierst był znanym już, dojrzałym poetą i reżyserem radiowym. Nigdy — patrząc wtedy na niego — nie podejrzewałbym, że chodzą mu po głowie takie oto liryczne perełki dla dzieci.

Ogród to taka zielona przestrzeń
pełna słowików i cichych westchnień.

Albo taka:

Ogród to taka siódma część świata
liściasta, wonna, ptasia, skrzydlata,
która ukrywa swoje granice
w pokrzywach...

Przez ten ogród raz po raz przebiega życzliwy całemu światu detektyw Tutam. Błyskawicznie odnajduje winnych. Pociesza skrzywdzonych. Zmienia ludzi złych w dobrych.

Całe życie wierzy pan Jerzy
Że dobro zwycięży.

Tadeusz Chudy

(Siedemnasta przygoda detektywa Tutama)

Ta „mleczna historia", którą ostatnio opowiedział nam detektyw Tutam, zdarzyła się w pewnym warszawskim domu, trochę nietypowym, bo miał on w zapleczu podwórko pełne zieleni, gdzie krzewy rosły gęsto, a tajemnicze ścieżki biegły kręto i z górki na pazurki. Nic też dziwnego, że rozhasana gromadka najmłodszych mieszkańców owego domu często tam bobrowała płosząc ptaki i koty.

Z tymi kotami to był specjalny problem. No, bo żyły sobie dziko i bezpańsko, żywiąc się upolowanymi wróblami lub czasem gołębiami. Nie wiadomo było, co z nimi robić, bo i żal było tego bezdomnego towarzystwa, i jednocześnie trudno było obojętnie patrzeć na tę hultajską drapieżność.

Mimo wszystko wśród mieszkańców domu przeważały ludzkie uczucia i z niejednego okna coś tam spadało na podwórze i dzikusom żyło się nie najgorzej. Szczególnie miękkie serce dla tej miauczącej czeredy miała pani Anastazja Wiotka, emerytka mieszkająca na parterze, w pokoju, którego okna wychodziły na ogrodową część podwórza, tam właśnie, gdzie koty miały swoje chody i kryjówki. Pani Anastazja miała po prostu kociego fioła. Dużą część swej emerytury przeznaczała na dożywianie tych podwórzowych dzikusów. Nic też dziwnego, że pod jej oknami o każdej porze dnia i nocy pełno było kociego chuligaństwa. Niesamowicie wyglądało to wieczorem, gdy na podwórze wjeżdżały wracające do garażów samochody. Wówczas światła reflektorów wydobywały z ciemności czarne i złotookie sylwetki czmychających na boki kocurów.

Oczywiście najmłodsi mieszkańcy opisywanego domu też nie przechodzili obojętnie obok tej kociej sprawy; dziewczynki o miękkich sercach wzruszały się kociętami, chłopcy zaś o kamiennych — płoszyli je przeraźliwymi odgłosami.

Tyle o kotach. Zajęło to dość dużo miejsca, ale i detektyw Tutam wiele słów tej sprawie poświęcił.

W domu tym mieszkał również samotny stary kawaler pan Euzebiusz Puzderko, technik dentystyczny, artysta w swoim zawodzie, który uszczęśliwiał ludzi artystycznie wykonanymi sztucznymi szczękami. Zawód swój traktował poważnie i wzniośle, pragnąc przynieść ulgę ludziom cierpiącym z powodu złego stanu zębów. Sam również zębów nie miał i może z tego powodu bardzo lubił mleko i wypijał duże jego ilości. Nie ma to jak mleczko — mawiał — bo to i witaminy, i błogo. Żeby to tak wszyscy zamiast alkoholu... Pan Euzebiusz co wieczór zostawiał pod drzwiami swojej kawalerki pustą butelkę, a rano skoro świt zabierał pełną — pozostawioną tam przez roznosicielkę mleka. Otóż pewnego ranka spostrzegł z niemałym zdumieniem, że w butelce brakuje mleka. Zawartość nie odpowiadała cenie. Sprawa zaczęła się powtarzać i to w formie coraz ostrzejszej. Po tygodniu pan Euzebiusz znalazł w butelce połowę tego, co w niej powinno być. Wieczorem nastawił budzik na 6 rano i obudziwszy się po dobrze przespanej nocy nasłuchiwał czekając na roznosicielkę. Gdy przyczłapała pod jego drzwi, wychylił się i tak do niej przemówił:

— Szanowna obywatelko! Od tygodnia otrzymuję od pani butelki z niewielką ilością mleka, to znaczy dużo mniej, niż powinienem otrzymać za to, co płacę.

— Pod złym adresem kieruje pan te pretensje — odpowiedziała szorstko dotknięta roznosicielka. — Ja panu stawiam pod drzwi pełną, opieczętowaną butelkę, jak każdemu. Nie wypijam pańskiego mleka.

— Otóż to! To pragnąłem od pani usłyszeć. Byłem i jestem przekonany, że pani jest w porządku, ale jakiś nieznany amator cudzego mleka pociąga, że tak powiem, z mojej butelki.. Kto to może być?

— Ja tam wiem? Może to dzieciaki? Sodoma teraz z nimi i Gomora.

To powiedziawszy poszła, dokąd miała iść, dzwoniąc pustymi butelkami.

— Ale nazajutrz butelka pana Puzderko została opróżniona niemal do dna. Pan Euzebiusz zakipiał. Niewiele myśląc chwycił słuchawkę telefoniczną i nakręcił numer detektywa Tutama.

— Chętnie się tym zajmę — zabrzęczała membrana w słuchawce. — Już kilka razy interweniowałem w sprawie mleka. To się zdarza dość często. Chwileczkę. Zapiszę adres...

Wkrótce w kawalerce pana Euzebiusza zjawił się sympatyczny pan z fajeczką.

— No, słucham pana, słucham. Co mi pan jeszcze może na temat mleka powiedzieć? Nikogo pan nie podejrzewa?

— Hm. Czy nikogo? Widzi pan, podejrzenia to rzecz ryzykowna, bo można się omylić.

— To prawda, ale zdarza się również często, że od poszlak do dowodów droga niedaleka.

— Więc dobrze. Będę z panem zupełnie szczery. Podejrzewam o te mleczne nadużycia panią Anastazję Wiotką, która ma kociego fioła i która prawdopodobnie moim kosztem dożywia koty. Wie pan, to niesłychane! Te koty to plaga tego domu! W marcu spać nie można, tak wrzeszczą. A ta pani karmiąc je powoduje, że przyrost naturalny tej plagi wzrasta zastraszająco. Niedługo ludzie z tej kamienicy będą musieli się wyprowadzić, bo ich miejsce zajmą koty!

— Aha, aha... — potakiwał Tutam pykając swą fajeczkę. — A gdzie mieszka owa pani Wiotka?

— Na parterze. Pode mną.

— A jak się układają z tą panią stosunki sąsiedzkie?

— Fatalnie.

— A dlaczego?

— Bo była niezadowolona z zębów, które dla niej zrobiłem. A robota, słowo honoru, była na medal.

— Nie wątpię. Pozwoli pan, że niebawem ponownie pana odwiedzę. Na razie złożę wizytę pani Wiotkiej.

*

— Szanowna pani... Dowiedziałem się — mówił detektyw do nieco przestraszonej pani Anastazji — że kocha pani zwierzęta. Chodzi mi o koty...

— Ach, tak. To takie bezdomne sierotki. Dożywiam je, jak mogę.

— A jak pani to robi?

— Ano, kupuję, gdy tylko mogę, mięska, jakiego się da... Albo ryb...

— Ho, ho!

— Czasem wleję im mleka...

— Mleka? A jak organizuje pani to karmienie?

— One organizują, nie ja. Przychodzą pod okno, na ten betonowy tarasik i wyczekują... Rzucam im po prostu te ochłapki.

— A z mlekiem, jak bywa?

— Z mlekiem? Widzi pan, te głodomory wolą mięso. Ale stawiam im czasem miseczkę, to i chłepczą...

— A ostatnio dawała im pani mleko?

— Ostatnio nie. A dlaczego pan pyta?

— Wybaczy pani, ale nie odpowiem na to pytanie. Dziękuję. Do miłego zobaczenia. Aha! Jeszcze jedno... Jaki, proszę pani, jest stosunek do tego kociego towarzystwa dzieci, mieszkających w tym domu?

— Chłopców obrzydliwy, dziewczynek lepszy, ale też nie o wiele.

— A czy jest, proszę pani, wśród nich — mam na myśli dziewczynki — taka, którą można by nazwać „kocią mamą"?

— Nie zauważyłam takiej. Chociaż może Ela z czwartego piętra...

— Z tej klatki schodowej?

— Tak. Z tej. Numer mieszkania 12.

Po chwili detektyw Tutam znalazł się na czwartym piętrze. Zadzwonił pod numer dwunasty. Najpierw rozległo się jazgotliwe ujadanie. Potem otworzyła mu drzwi sympatyczna dziewczynka o zadartym nosku i figlarnym uśmieszku.

— Cicho, Bobik! — uciszyła zabawnego pieska, który również pełnił honory domu.

— Jestem detektyw Tutam. Prawdopodobnie rozmawiam z Elą. Czy tak?

— Tak...

— Powiedz mi moja kochana, czy lubisz koty?

— Koty? Owszem. Nawet bardzo.

— I co? Masz własnego?

— Nie. Niestety. Tato nie chce się zgodzić... Bo u nas jest pies. Pan rozumie. Ale za to opiekuję się czasem podwórzowymi... Dawniej taką kotką, co miała kocięta...

— To ładnie. Na czym polega ta opieka?

— Zanoszę im resztki z obiadu...

— A obecnie masz taką podopieczną kotkę?

— Nie... Na wiosnę miałam. Było sześcioro kociąt. Teraz już to całe towarzystwo hula po świecie, to znaczy po krzakach i śmietnikach.

— A czy mogłabyś mi pokazać miejsce, gdzie kotka miała gniazdo?

— A naturalnie. Proszę bardzo.

Ela poprowadziła detektywa. Wkrótce znaleźli się na tyłach domu.

— Widzi pan, o tu. Mieli coś budować... W tych deskach. O! — Ela wydała stłumiony okrzyk.

— No, co tam? — zapytał Tutam.

— Kotka! Niech pan spojrzy... Kotka z małymi... Jakie śmieszne. Trójkolorowe.

Podeszli parę kroków. Kotka karmiąc małe patrzyła niespokojnie i fukała ukazując zęby ostre jak szpilki.

— Odsuńmy się. Nie denerwujmy stworzenia — powiedział Tutam. — Ale widzę, że tej prawdziwej kociej mamie powodzi się całkiem dobrze. Spójrz. Ma miskę, nawet można powiedzieć michę, z nie dopitym mlekiem. To znak, że nie jest głodna. Ktoś tu o nią dba, i to bardzo troskliwie.

— Rzeczywiście... — Szepnęła z przejęciem Ela.

— No, i jak, Elu? Czy naprawdę nic o tej kotce i tym mleku nie wiedziałaś?

— Słowo daję, że nic. Pan myśli, że ja...

— Ano, myślę, co myślę. Chwileczkę. Coś tu leży...

— Co to? Kluczyk?

— Tak. Kluczyk. Wygląda mi na kluczyk od skrzynki do listów. Czy to twój?

— Nie. Nie mój... Dlaczego miałby być mój?

— A może jednak twój?

— Nie! Skąd! Ja tu od wiosny nie byłam... — Ela patrzyła na Tutama niespokojnymi oczami jak kotka.

— No, moja kochana, skoro nie masz mi nic więcej do powiedzenia na temat tej kotki i tego mleka, to muszę ci na razie podziękować za przewodnictwo. Na razie. Bo pewno wkrótce jeszcze raz cię odwiedzę.

— Tak? — W głosie Eli brzmiał niepokój. Odeszła z zafrasowaną miną. Odchodząc obejrzała się podejrzliwie kilka razy na Tutama. Detektyw stał zamyślony kręcąc w palcach kluczyk z czerwoną tasiemką.

*

Po chwili znalazł się w klatce schodowej przed „wiszącą szafą" z lokatorskimi skrzynkami do listów. Zaczął od numeru dwunastego. Spróbował znalezionym kluczykiem otworzyć skrzynkę. Nie pasował.

— Mówiła prawdę... — mruknął z uśmiechem detektyw. — To nie jej kluczyk. Mruknąwszy powtórzył próbę otwierania zaczynając od początku, od góry. Próby te nie dawały pożądanego rezultatu. Wreszcie... Tak. Trzecia skrzynka od końca w ostatnim rzędzie otworzyła się bez trudu. Kluczyk pasował znakomicie. Detektyw uśmiechnął się z zadowoleniem. Skrzynka oznaczona była numerem czterdziestym trzecim. Detektyw pykając fajeczkę podszedł do listy lokatorów. Odszukał numer czterdziesty trzeci i odczytał nazwisko: Izydor Jackowski. Tutam otworzył windę, wsiadł i pojechał na czwarte piętro. Zadzwonił pod numer dwunasty. Bobik odszczekał swoją serię powitalną.

— Bardzo cię, Elu, przepraszam, ale potrzebuję twojej pomocy. — Ela patrzyła niespokojnie na Tutama. — Powiedz mi moja kochana, kto mieszka pod numerem czterdziestym trzecim?

— Alik Jackowski.

— Alik. Czy to twój kolega?

— Nie. Ale znam go dobrze. To „zoolog". Tak go nazywamy, bo ciągle chodzi do ZOO i ma kręćka na punkcie zwierzaków. Mnóstwo pieniędzy na to wydaje... Teraz ma pięć chomików...

— Tak? A czy interesuje się kotami z podwórza?

— Chyba nie. Chłopcy nie nadają się na „kocie mamy".

*

Rozmowa Tutama z mamą Alika miała przebieg następujący:

— Proszę pani, muszę pani z racji pełnionych przeze mnie funkcji zadać kilka pytań.

— Słucham pana.

— Ten kluczyk — to mówiąc Tutam wyjął z kieszeni kluczyk z czerwoną tasiemką — jest od skrzynki należącej do państwa? Czy tak?

— Tak. Rzeczywiście.

— Czy ostatnio miał go w swoich rękach syn pani, Alik!

— Ostatnio? Miał. Posłałam go na dół, żeby mi przyniósł pocztę. Pomaga mi jak może we wszystkich drobiazgach...

— Ma pani pociechę z syna?

— A mam. Uczynny i ma takie ładne zainteresowania...

— Jakie?

— Kocha zwierzęta.

— A mąż pani, co porabia?

— Mój mąż nie żyje. Mam teraz tylko Alika.

— To pewno się u pani nie przelewa?

— A nie. Ale jakoś tam wiążę koniec z końcem.

— Bardzo pani dziękuję i bardzo panią przepraszam. Kluczyk jeszcze zatrzymam. Chciałbym poza tym porozmawiać z Alikiem,

i to w cztery oczy. Może mi go pani przyśle dziś o godzinie 16?

— Proszę bardzo. A czy mogę wiedzieć, o co chodzi?

— O co chodzi? — Tutam uśmiechnął się życzliwie i tajemniczo. — Chciałbym z nim porozmawiać o zwierzętach. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu?

— Ależ przeciwnie. Bardzo jestem rada.

*

O godzinie 16 Alik zadzwonił do Tutama.

— Mój drogi — mówił detektyw wprowadzając go do pokoju — chciałbym, żebyś rozmawiał ze mną jak ze swoim przyjacielem, bo ja tak zamierzam rozmawiać z tobą. Powiedz mi, czy to ty opiekujesz się kotką, która okociła się w tych deskach za domem?

— Ja...

— A powiedz mi, skąd bierzesz mleko, którym je karmisz? — Alik milczał długo, a jego jasne oczy wypełniły się łzami.

— Sprzed drzwi pana Puzderko? — zapytał patrząc mu łagodnie w oczy Tutam. — Czy tak?

— Tak...

— Czy to jest w porządku?

— Nie...

— Dlaczego więc to robisz?

Alik milczał. Pierwsza łza spłynęła mu po policzku.

— Nie miałem pieniędzy na mleko... A, a nasze wypijają chomiki...

— Rozumiem. — Tutam objął Alika po przyjacielsku. — Rozumiem i nie będę całej tej sprawie nadawał rozgłosu. Musisz tylko przyrzec, że pójdziesz do pana Puzderko i wszystko mu wyjaśnisz. Jestem przekonany, że ci wybaczy. To bardzo dobry człowiek. Masz. Oddaję ci kluczyk, który zgubiłeś przy swojej kotce. Do pana Puzderko pójdź jutro. Pamiętaj, jutro, nie dziś.

— Dobrze. Dziękuję.

Nietrudno domyślić się, że Tutam porozumiał się z panem Puzderko przed terminem wizyty Alika. Toteż pan Euzebiusz przyjął Alika z życzliwością i wyrozumiałością.

— Byłem pewien — mówił pan Puzderko — że to Anastazja Wiotka. Nigdy nie trzeba ludzi podejrzewać. A to ty... Taki z ciebie „zoolog". Źle zrobiłeś, mój drogi, że nie przyszedłeś do mnie i nie poprosiłeś o tę kroplę mleka.

— Źle, ale stało się... Przepraszam...

— Tak, tak... A jutro rano przyjdź z kubkiem, to ci odleję trochę mleka.

Jerzy Kierst
(Fragment z książki „Przygody detektywa Tutama")
Rys. Jerzy Flisak

KONKURS na wypowiedź

KTÓRA TO KSIĄŻKA? JAKA OPOWIEŚĆ, LUB WIERSZ?

*Nie całe wakacje spędzisz na plaży, w lesie, na wycieczkach i grach. Przyjdzie taka chwila, na przykład podczas deszczu, gdy sięgniesz po książkę, przeczytasz wiersz albo opowiadanie. Jeśli Ci się szczególnie spodobają, napisz do „Płomyczka", **która to książka, jaka** (nie tylko przeczytana, ale i zasłyszana) **opowieść, który wiersz?***

Podaj imię i nazwisko autora. Jeśli to będzie niedługi wiersz, przepisz go dla nas, może przedrukujemy. Niech inni też odczują Twoją radość, niech się podobnie zamyślą. Napisz, co Ci się w tej powieści-opowieści czy wierszu podobało? Jakie refleksje towarzyszyły Ci jeszcze długo, długo po przeczytaniu? Zapisz te myśli i przyślij do nas po prostu w formie zwykłego listu z wakacji —

Redakcja „Płomyczka"
ul. Spasowskiego 4
00-950 Warszawa

— z dopiskiem na kopercie:
KONKURS NA WYPOWIEDŹ

Najciekawsze prace-listy zostaną nagrodzone pięknymi książkami. Na Wasze wypowiedzi czekamy do 31 sierpnia br. I przypominamy: podajcie dokładnie swoje imię i nazwisko oraz dokładny adres z numerem kodu pocztowego.

WIERSZ

Litery w szeregach
jak żołnierze

Pierwsza
druga
trzecia
czwarta

W szeregach cała karta!

— Kim są ci karni żołnierze?

Wierszem
szeptem serca

— A kto te szepty
zbiera do wiersza?

Poeta.

Alicja Patey-Grabowska

*

Czy to prawda, że poeta
jest tak bardzo roztargniony,
że kupuje zamiast marchwi
pęczek fiołków dla swej żony?
Czy to prawda, że poeta
się nie zmienia od stuleci?
Szuka prawdy,
słucha serca,
widzi tak,
jak widzą dzieci...

Emilia Waśniowska

* * *

Wiersza się nie pisze
wiersz się mówi

słowa rosną w środku
jak ciasto na drożdżach

(drożdżach duszy?)

ciasto szafranowe
miesza się z ciastem czarnym
żytnim

potem to ciasto jedzą
ludzie
zwierzęta

każde słowo wyrosło okrzykiem
ale krzyczeć w nocy nie można

więc ciszej ciszej
mów wiersze

Jarosław Iwaszkiewicz
(„Xenie i elegie" cz. X)

Rys. Przemysław Woźniak

JAK TO SIĘ BAWIĆ

Dzieci na całym świecie bawią się podobnie jak w Polsce — w berka, ślepą babkę, głuchy telefon, grają w warcaby, w wilka i owce... Ale znane są tam również gry i zabawy mało popularne w Polsce. Postanowiliśmy więc wyszukać spośród zabaw dzieci francuskich i niemieckich bardziej interesujące i zapoznać Was z nimi za pośrednictwem „Płomyczka". Może Wam się spodobają?

La marelle

We Francji — tak jak w Polsce — dzieci, a szczególnie dziewczynki, bardzo chętnie grają w klasy. Po francusku ta gra nazywa się właśnie la marelle (czytaj: la marel). Oczywiście, istnieje bardzo wiele jej odmian. Widziałem również dziewczynki grające w tak popularne u nas „niebo i piekło", różnica jest tylko taka, że po francusku nazywa się to „le ciel et la terre" (czytaj: le sjel e la ter), co znaczy — niebo i ziemia.

Tu chcę Wam pokazać grę w klasy, która nazywa się „la marelle des nombres" (la marel de nombr), co można przetłumaczyć jako „klasy liczbowe".

Należy narysować na ziemi kwadrat o boku ok. 1 metra 60 centymetrów i podzielić go na szesnaście równych kwadratów. Następnie każdy z nich oznaczyć liczbą od 1 do 16. Np. tak:

5	15	2	16
11	4	7	14
6	1	10	3
9	12	8	13

W grze może brać udział od 2 do 4 uczestników. Każdy, skacząc ze złączonymi stopami, musi przebyć trasę od pola 1 do 16. Oczywiście, należy skakać kolejno z pola 1 na 2, z 2 na 3 itd. Następnie zaś w odwrotnej kolejności, od pola 16 do 1.

Każda omyłka, to znaczy skok na niewłaściwe pole lub nadepnięcie na linię, powoduje cofnięcie gracza w pierwszej turze na pole 1, w drugiej na 16.

Wygra ten, kto przebył całą trasę z najmniejszą liczbą błędów. W ten sam sposób ustala się kolejność pozostałych miejsc.

La poursuite

La poursuite (czyt. la pursyit) — czyli „pościg". Jest to gra dla dwóch osób. Każda z nich musi mieć przynajmniej 2—3 kulki (ale wygodniej jest mieć ich 5—6). Na kawałku ubitej ziemi, np. na ścieżce w parku, należy narysować kreskę. Stąd gracze będą rzucali swoje kulki.

Gra rozpoczyna się od tego, że każdy z grających rzuca po jednej swojej kulce starając się, żeby poleciała jak najdalej (kilka metrów). Następnie każdy po kolei stara się trafić swoją kulką w kulkę przeciwnika, wyrzuconą na początku gry.

Za każde trafienie gracz uzyskuje 10 punktów i prawo do następnego rzutu. Każde „pudło" to 10 punktów dla przeciwnika i „oddanie ręki", czyli stracenie prawa do rzutu na jego rzecz.

Wygrywa ten, kto pierwszy uzyska 110 punktów.

Jerzy Ławicki

Tip-Top

Dwóch graczy stoi naprzeciw siebie w odstępie jednego metra. Jeden z graczy mówi „Tip" i stawia nogę wzdłuż albo w poprzek przed swoją drugą nogą. Drugi gracz odpowiada „Top" i tak samo postępuje. Zabawa trwa dotąd, aż zabraknie miejsca. Gracz, którego noga już się nie mieści, przegrywa.

Kulki

Przebieg tej gry jest następujący: najpierw wszyscy uczestnicy zabawy rzucają z jednakowej odległości garść kulek, w kierunku dołka. Potem każdy, kolejno, próbuje kulki, które nie wpadły i leżą poza dołkiem, skierować do niego, przytykając w nie palcami. Jeśli to mu się nie uda, wypada z gry. Zwycięzcą zostaje ten, kto najwięcej kulek wrzuci do dołka.

Z. K.

DZIECI ŚWIATA

FOT. UNICEF

Jeż

Mógłby, mówiąc między nami,
założyć sklep ze szpilkami.

Gęś

Wciąż przysięga,
że nie gęga.

Kukułka

Chyba kłamie, bo bez mała
dwieście lat mi wykukała.

Żyrafa

Wielka
modelka.

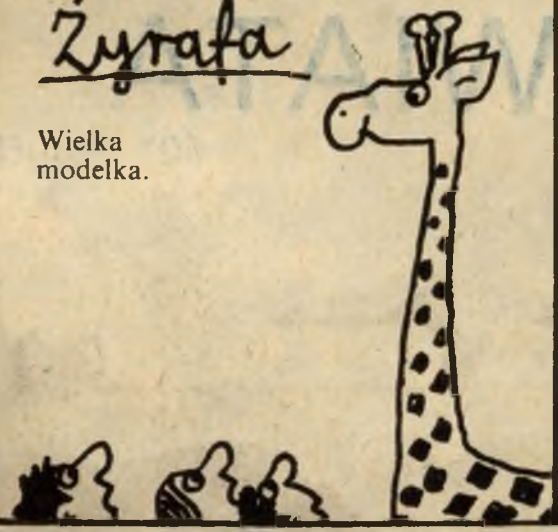

Pingwin

Jedyny ptak
noszący frak

Groźba myszy

Nie pożeraj mnie, kotku,
bo podrapię cię w środku.

Józef Bułatowicz

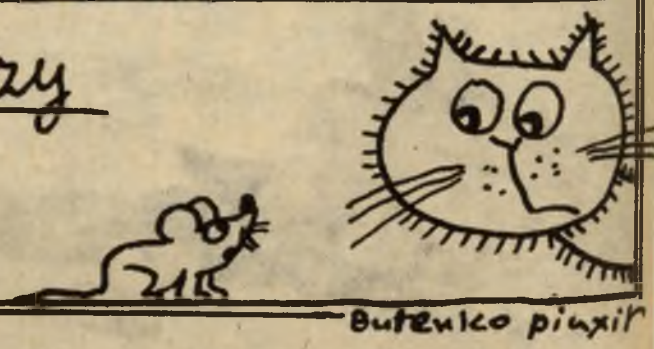

Rys. Bohdan Butenko

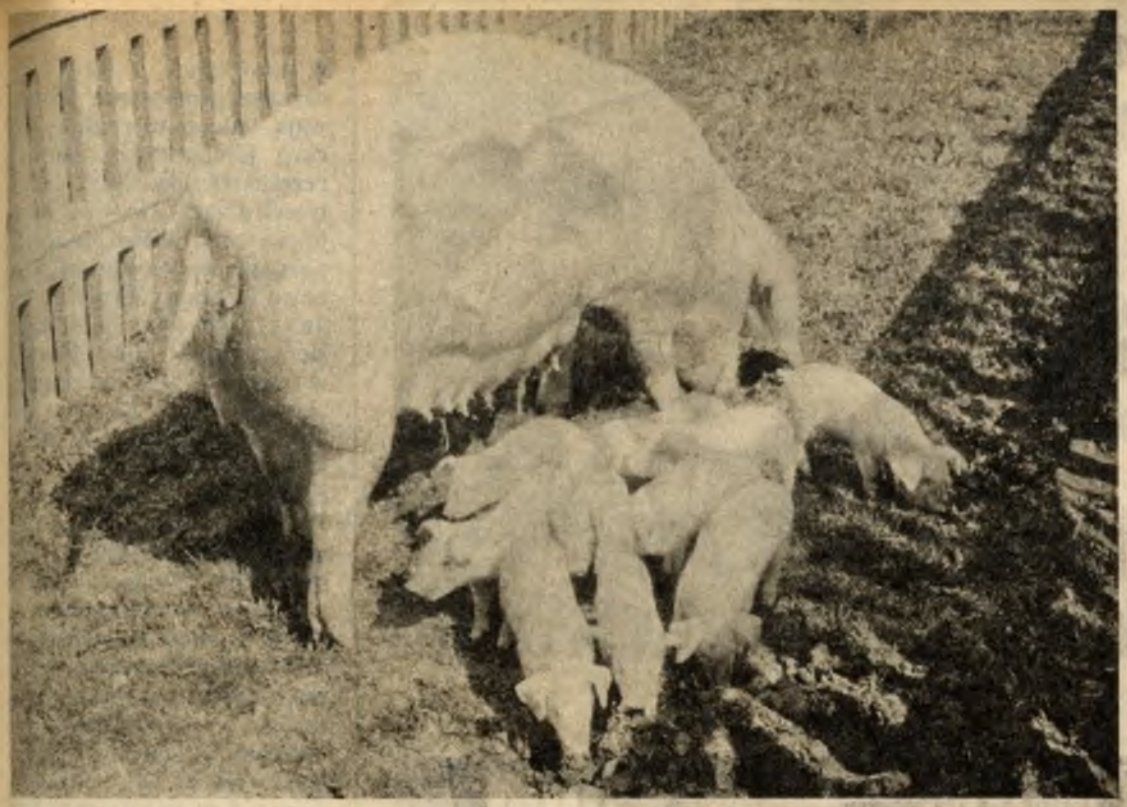

KTO PIERWSZY TEN LEPSZY

1. Jeżeli dokładnie się przyjrzycie, rozróżnicie w tym miocie prosięta większe i mniejsze. Te większe, to przodownicy w grupie, te mniejsze muszą im schodzić z drogi

Prosięta po urodzeniu są całkowicie bezradne. Matka, która je dokładnie myje oblizując, masuje im brzuszki, potrafi się tak położyć, aby żadnego nie przygnieść, co nie jest łatwe, gdy w jednym miocie może być kilkanaście prosiąt i na każde trzeba uważać. Maciora dba o czystość gniazda, potrafi w pysku przenieść prosiaka z brudnej części kojca na suchą, czystą słomę.

Gdy obserwujemy prosięta w pierwszych dniach ich życia, może się nam wydać, że jest to dla nich czas leniuchowania. Całymi godzinami śpią zbite w gromadkę, aby im było cieplej, i budzą się tylko do jedzenia. Okres ten jest dla prosiąt bardzo ważny. W ciągu pierwszych 10—15 dni życia ustala się stopień ich ważności w miocie, czyli tzw. hierarchia stada. Prosięta w tym okresie staczają między sobą liczne walki, których celem jest... miejsce przy sutku matki w czasie karmienia.

Kiedy zbliża się pora karmienia, o czym maciora zawiadamia swoją liczną rodzinkę głośnym pomrukiwaniem, prosięta tłoczą się przy jej sutkach, wzajemnie się odpychają, poszturchują, podgryzają, odpędzają. Słychać radosne pokwikiwanie prosiąt bliskich zwycięstwa i smutne popiskiwanie tych, którym się najwięcej oberwało w rodzinnych bijatykach.

O co tak prosięta walczą? Otóż, maciora ma 12—14 sutków. Im dalej sutek oddalony jest od głowy, tym jest w nim mniej mleka. A więc te prosięta, które wywalczą sobie przednie sutki, mają mleka najwięcej, a te, którym przypadną sutki tylne — najmniej. Prosięta silniejsze, agresywniejsze i sprytniejsze po wywalczeniu pierwszeństwa w miocie i prawa do ssania mleczniejszych sutków już po kilku dniach wyróżniają się wielkością i masą od pozostałych. Zdobytą w tym czasie przewagę utrzymują zwykle przez cały okres wspólnego odchowu przy matce. Nawet wtedy, kiedy prócz mleka dostają suchą paszę do korytek, mają do niej pierwsze dostęp i zajmują przy korytkach najwięcej miejsca, wskutek tego także teraz zjadają najwięcej paszy.

Bardziej samodzielne życie zaczynają prosięta po upływie około 2 miesięcy od urodzenia i nazywane są wówczas warchlakami. Zabierane są od swych matek i łączone

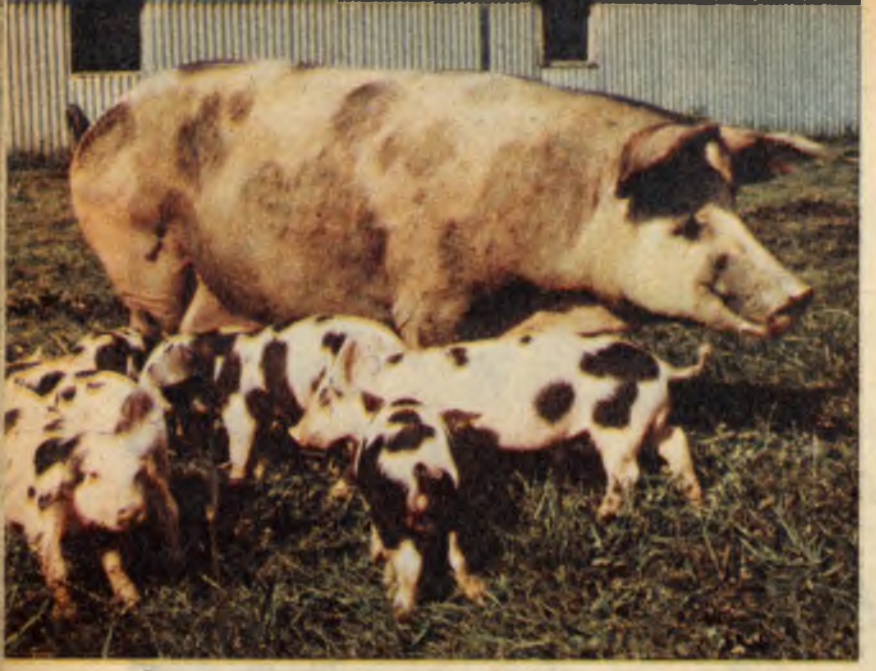

2

3

4

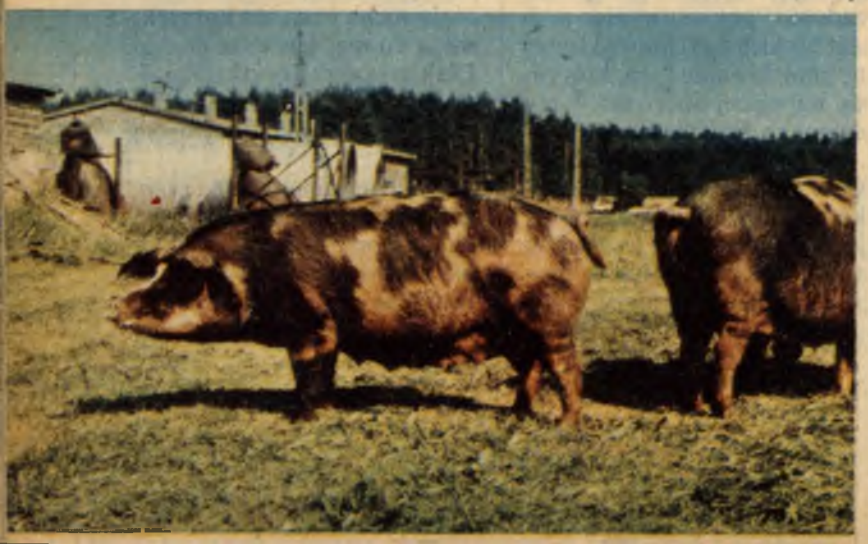

w nowe grupy z innymi rodzinami prosięcymi. Przeżywają mocno tę rozłąkę, nie chcą jeść, chodzą osowiałe i często chorują. Ale po dwóch, trzech dniach, kiedy już oswoją się z brakiem maciory, poznają się nawzajem i od nowa ustalają hierarchię stada, z czym oczywiście łączą się ponowne bójki. Pozycja w kojcu, w którym znajduje się zazwyczaj 15—20 warchlaków, decyduje o pierwszeństwie przy korycie podczas karmienia, co daje możliwość wyboru najsmaczniejszych kąsków pokarmu i zajmowania wygodniejszego miejsca do wypoczynku.

Ale teraz walka o dostęp do paszy nie jest jedynym zainteresowaniem warchlaków, jak to było w okresie prosięcym. Wokoło jest coraz więcej nowych rzeczy do poznania, a świnki są zwierzętami bardzo ciekawskimi i starają się wszędzie wsadzić swój ryjek. Częste są w chlewie przypadki, że świnka utknie z głową w jakiejś dziurze i głośnym kwikiem wzywa pomocy. Warchlaki wbrew pozorom, bardzo szybko się uczą, zwłaszcza sposobów wydostawania się z ciasnych kojców i wybiegów. Wszystko to odwraca ich uwagę od bratobójczych potyczek. Instynkt walki przeradza się stopniowo w instynkt życia, który młodym świnkom będzie potrzebny, kiedy staną się dorosłe i one z kolei będą wychowywać swoje potomstwo i uspokajać zwaśnione rodzeństwo.

Edward Lewandowski
Fot. Alojzy Zawadzki

2. Chociaż prosięta walczą między sobą, nie robią sobie dużej krzywdy

3. Co jest za tym płotem?

4. Jestem już starszy, lubię samotność i spokój

DALSZY ROZWÓJ TELEWIZJI (2)

Od zakończenia wojny minęły niecałe dwa lata. Warszawiacy żyli w biedzie, ale byli wśród nich tacy, którzy pragnęli zrealizować plany przecięte tragedią Września i okupacji: dać społeczeństwu telewizję. Ci zapaleńcy usadowili się na Pradze w nie zniszczonym budynku przy ul. Ratuszowej 11. Inicjatorem powojennych prac nad polską telewizją, podobnie jak w latach międzywojennych, był prof. Janusz Groszkowski, a kierował nimi prof. Lesław Kędzierski.

Zaczynano od zera, ale dzięki literaturze technicznej można było prowadzić eksperymenty na znacznie wyższym pułapie niż przed wojną. Pomógł też szczęśliwy przypadek. Nabyto w Warszawie lampę analizującą do kamery telewizyjnej, przywiezioną przez kogoś prywatnie z Wielkiej Brytanii, co ułatwiło wznowienie prac badawczo-konstrukcyjnych.

Na efekt nie trzeba było długo czekać. Już w r. 1949 zespół specjalistów zbudował tor kamerowy, a dalsze prace doprowadziły do udoskonalenia tej aparatury. Zespół skonstruował eksperymentalne odbiorniki telewizyjne i uruchomił studio doświadczalne. Był to uroczysty dzień. Po raz pierwszy przekazano obraz kontrolny z własnej kamery do odbiornika całkowicie skonstruowanego również przez polskich uczonych. Stawiało to Polskę w nielicznej grupie krajów mogących rozpocząć regularne nadawanie audycji telewizyjnych.

Do tej pory prace prowadzono w wąskim gronie wtajemniczonych i niewiele informacji o tym, co się dzieje w Instytucie Łączności na Ratuszowej, docierało do opinii publicznej. Teraz postanowiono „odsłonić kurtynę". W gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego przy ul. Spasowskiego (dawniej Smulikowskiego) 15 grudnia 1950 r. otwarto wystawę „Polskie Radio w walce o pokój i postęp", połączoną z pokazem działania aparatury telewizyjnej.

Obszerną relację reporterską z tego pierwszego programu zamieścił m. in. „Express Wieczorny", patronujący pokazowi:

„Na pierwszy pokaz telewizyjny w dniu 15 grudnia przybyły tłumy warszawiaków. Niestety, nie wszyscy mogli obejrzeć program, mimo że sala była duża. Bo telewizja to nie kino, gdzie na jeden ekran mogą patrzeć setki osób".

Nadawano codziennie 8 różnych audycji, trwających przeciętnie 15—20 minut. Na dłuższe pokazy nie zdecydowano się z dwóch powodów: stale napływali nowi widzowie, a urządzenia — niezbyt przecież wysokiej

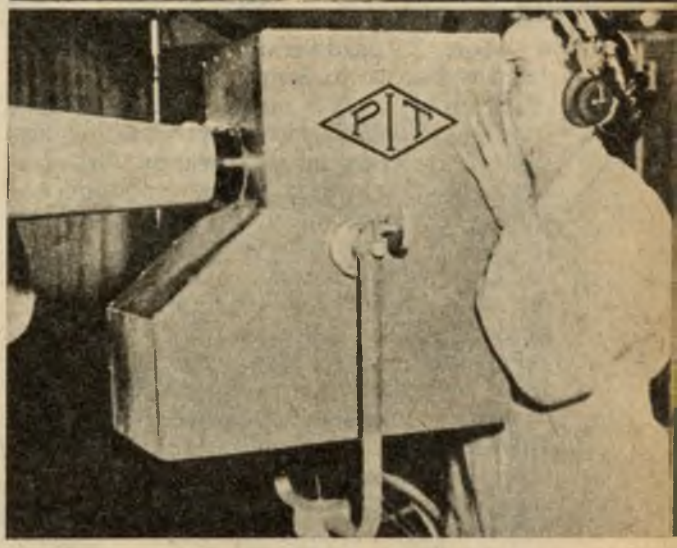

Przed kamerą w Studio Doświadczalnym Telewizji Instytutu Łączności w Warszawie artyści A. Janowska i A. Dymsza (r. 1952)

Kamera telewizyjna na wystawie „Radio w walce o pokój i postęp" (r. 1951)

jakości — przy dłuższej eksploatacji ulegały uszkodzeniom.

Zastosowano oryginalną koncepcję „sali telewizyjnej": w jednej jej części odbywały się spektakle telewizyjne, występy teatru lalek i programy estradowe, a w drugiej — oddzielonej wielką szybą — te same występy można było oglądać na monitorach. Warto powiedzieć, że wbrew zwyczajom teatralnym aktorzy przyjeżdżali do studia już w kostiumach i po krótkiej próbie sytuacyjnej dawali pokaz. W innych odcinkach programu pracowali w zwykłych ubraniach, najczęściej bez żadnej charakteryzacji. Przez salę ZNP w czasie trwania wystawy przewinęło się około 100 tys. osób. Oprócz mieszkańców Warszawy zwiedziły ją liczne wycieczki i osoby indywidualne z całego niemal kraju.

Powodzenie imprezy zachęciło twórców do intensyfikacji prac. Toteż w niedługim czasie gotowy był nadajnik, który zainstalowano na 8 piętrze domu przy ul. Ratuszowej 12, naprzeciw Instytutu Łączności, a na dachu maszt anteny nadawczej. Studio telewizyjne urządzono w jednej z warsztatowych hal w budynku Instytutu Łączności. Pierwszą oficjalną emisję postanowiono przeprowadzić w sobotę, 25 października 1952 r. w przeddzień wyborów do Sejmu. Miał to być program rozrywkowy z udziałem aktorów mających „doświadczenie telewizyjne", wyniesione z występów na wystawie przy ul. Spasowskiego. Po krótkiej próbie generalnej nastąpiło przygotowanie do transmisji. Personel techniczny studia założył białe fartuchy. Po co? Otóż gdyby któraś z kamer „chwyciła" przypadkiem osobę w fartuchu, to widz miał się domyślić, że to pracownik studia.

Personel stanął na swoich stanowiskach. Jedną z kamer skierowano na sygnał wywoławczy z napisem: „Doświadczalna Stacja Telewizyjna", z inicjałami Instytutu Łączności oraz dwiema liczbami: 1952 — rok rozpoczęcia pracy i 625 — liczba linii składających się na obraz. Na planszy widniała również warszawska Syrenka i kilka figur geometrycznych ułatwiających regulację odbiorników.

Punktualnie o godz. 19 spikerka, Maria Krzyżanowska, zapowiedziała pierwszą audycję telewizyjną w następujący sposób: „Mili widzowie! Doświadczalna Stacja Telewizyjna w Warszawie rozpoczyna swój próbny program. Pracownicy Instytutu Łączności, którzy od dłuższego czasu przygotowują podstawy techniczne dla polskiej telewizji, wzięli udział w czynie przedwyborczym i uruchomili radiostację oraz aparatury odbiorcze. Dzięki temu możemy już dziś pokazać wam jedną z naszych prób programu telewizyjnego, opracowanego przez Polskie Radio".

Sygnał wywoławczy Telewizyjnego Ośrodka Doświadczalnego w Warszawie (r. 1952)

Studio Telewizyjne w Instytucie Łączności. Przed kamerami bokserzy z Klubu Sportowego (r. 1952)

Tadeusz Pszczołowski, jeden z współtwórców TV, tak wspomina to wydarzenie:

„Występujący w pierwszej audycji Jerzy Michotek śpiewał przy gitarze. Witold Gruca tańczył... z towarzyszeniem... akordeonu. Fortepian po prostu nie mieścił się w studio. A gdyby nawet się zmieścił, to skąd go wziąć? Kamery w porównaniu z obecnymi były ślepe, więc plan oświetlano taką ilością reflektorów, że temperatura studia powodowała pękanie żarówek. W miarę upływu czasu występom towarzyszył huk implozji..." Dla ścisłości należy dodać, że wystąpili wtedy jeszcze: Marta Nowosad i Jan Mroziński.

Czynnych było kilkanaście telewizorów, niektórzy twierdzą, że nawet dwadzieścia kilka, zainstalowanych w świetlicach i klubach prawobrzeżnej Warszawy. Na lewy brzeg Wisły sygnały docierały tak zniekształcone, że nie mogło być mowy o poprawnym odbiorze. Wizję emitowano z anteny telewizyjnej, a dźwięk w zwykłym programie radiowym. Dopiero zestaw: telewizor + radio zapewniał pełnię wrażeń.

Początkowo pracę w studio bardzo utrudniała ciasnota. Podczas filmowania np. walki bokserskiej, cofający się zawodnik mógłby zdemolować wnętrze. W programach uczestniczyły też zwierzęta dostarczane z ZOO, ale tylko „maluchy". Dla większych nie starczało miejsca.

Latem 1954 r. studio przeniosło się do nowej siedziby przy pl. Wareckim, gdzie miało prawie cztery razy większą powierzchnię. Stacja nadawcza Doświadczalnego Ośrodka Telewizyjnego została umieszczona na 16 piętrze hotelu „Warszawa", dawnego „Prudentialu", nazywanego wówczas drapaczem chmur. A więc telewizja wróciła na swoje przedwojenne miejsce. Antena, umieszczona 85 metrów nad poziomem ulicy, zapewniała stacji zasięg 35 km. W następnych latach sprowadzono z ZSRR wysokiej jakości aparaturę nadawczą, antenę umieszczono na iglicy Pałacu Kultury na wysokości 225 m, co pozwoliło zwiększyć zasięg warszawskiej stacji do 60 km. 30 kwietnia 1956 r. dokonano otwarcia Warszawskiego Ośrodka Telewizyjnego. W ten sposób zakończony został okres eksperymentów, a zaczęła się normalna praca polskiej TV.

Józef Zięba
Fot. KAW

WARSZAWA

LATAJĄCY POGRZEBACZ Z WIZYTĄ U MARTY

▲ *Pankracy*

▼ *Pan Prusz*

Z wizytą? Pogrzebacz? I do tego latający? Zaraz wszystko Wam wyjaśnię. Zacznijmy od początku, czyli od piosenki powitalnej:

Dzień dobry wam, dzień dobry, dzieci,
co macie lat — od trzech do stu!
Wędrując z bajką wraz po świecie
nasz teatr trafił właśnie tu...

... to znaczy do mieszkania Marty na Pradze w Warszawie. Dorośli mieli tam wstęp tylko z dziećmi. Bez dzieci nie wpuszczano! Rodzice Marty zaprosili do domu aktorów z Teatru Powszechnego w Warszawie. Przygotowali oni spektakl dla młodych widzów, będący inscenizacją mało znanego wiersza Jana Brzechwy pt. „Latający pogrzebacz".

Teatrzyk „Tralala" pokazywał swoje przedstawienie w wielu klubach osiedlowych, w szkołach i przedszkolach. Wszędzie tam, gdzie go zaproszono.

Dekoracje, stroje i rekwizyty aktorzy przywożą ze sobą. Wśród rekwizytów, czyli przedmiotów potrzebnych w czasie przedstawienia są dwa parawany, hulajnoga, skrzynka z narzędziami, gitara i, oczywiście, pogrzebacz. Bez niego nie byłoby spektaklu. Na tym pogrzebaczu przecież bohater wiersza, Prot, odbywa podniebną podróż z Błękitniewa (gdzie mieszka wraz z tatą, panem Pruszem, nauczycielem muzyki) do Przemysłowa. Tu, w Przemysłowie,

Prot ▼

Prot może nareszcie robić to, co lubi, bo woli on majsterkowanie od śpiewania.

Aktorzy: Daria Trafankowska, Magdalena Kuta, Aleksander Trąbczyński (Prot), Jerzy Gudejko (Pankracy) i Zygmunt Sierakowski (pan Prusz) śpiewają, tańczą i bawią się razem z młodą widownią.

A jak? Obejrzyjcie zdjęcia. Bo i ja tam byłam, brawo z dziećmi biłam i na fotografiach spektakl utrwaliłam.

Maria Czernik

SZYFROGRAM

Klucz do tej zagadki znajduje się obok. Należy odgadnąć znaczenie zaszyfrowanych wyrazów: 1. świąteczne drzewko, 2. ma je sum i stary dziadek, 3. zwierzę z kolcami, 4. ścisk, bardzo duża liczba ludzi. Następnie litery z odgadniętych wyrazów wpiszcie do pustych kratek szyfrogramu pod odpowiadające znaki. Odczytajcie hasło.

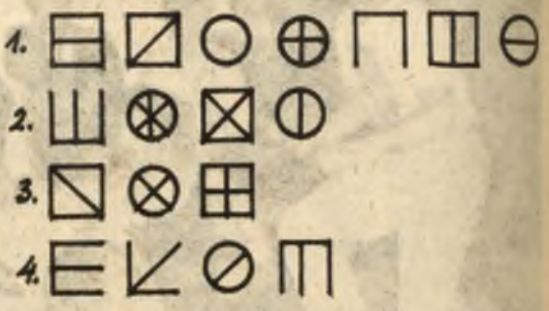

JAKIE TO PAŃSTWO?

Wymienione niżej nazwy państw ułóżcie w takiej kolejności, aby pierwsze litery utworzyły nazwę jeszcze jednego państwa.
ANGOLA, AUSTRIA, GRECJA, IRAK, LIBIA, OMAN, PAKISTAN, RUMUNIA, TURCJA, URUGWAJ.

J. S.

ZAGADKA

W drukarni go męczą.
Malują go tęczą.
Nie płótno, nie koszula,
różne rzeczy otula.

W. S.

KRZYŻÓWKA

Do narysowanej figury wpisz wyrazy o niżej podanych znaczeniach.

Poziomo: 4. płaczące drzewo, 5. nadmuchiwany sennik. 6. schowanie.

Pionowo: 1. wisi na oknie, 2. do czesania, 3. odzież, w której chodzisz.

J. S.

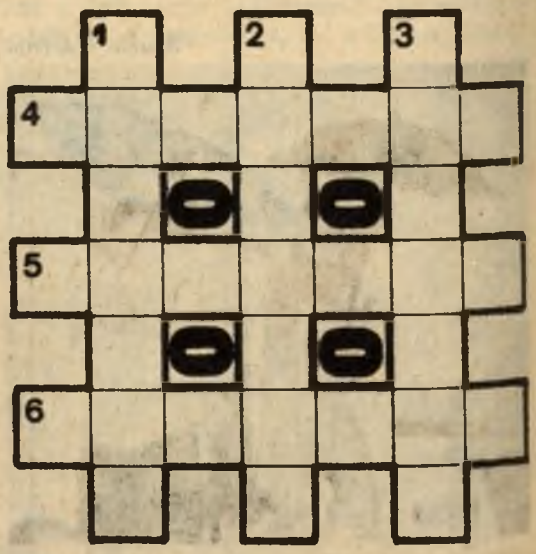

NASZ ZWIERZYNIEC

FLAMING

Czerwonaki, czyli flamingi dbają o swój wygląd zewnętrzny, tak na wolności, jak i w niewoli. Może nie są one tak barwne jak ptaki rajskie czy pawie, niemniej trudno sobie wyobrazić ogród zoologiczny bez ich obecności przy fontannach zlewających im pióra rzęsistym deszczem. Zadziwiają nas różowym zabarwieniem piór, długimi kończynami i długą szyją.

Dużą osobliwością czerwonaków jest ich dziób płaski i mocno zagięty do dołu. Interesujące jest, że podczas otwierania tego dzioba nie opuszcza się jego dolna część, jak u wszystkich ptaków, lecz unosi się górna tak jak w przyłbicach rycerskich. Taka budowa, podobna do szufelki, ma swoje uzasadnienie. Flamingi odżywiają się drobnymi zwierzątkami — ślimakami, małżami znalezionymi w mule płytkich zbiorników wodnych. Przeszukują one muliste dno orząc je swoimi płaskimi dziobami. Dlatego też mają przystosowane do tego długie nogi i szyje. Są więc ptakami brodzącymi, ale nie nurkującymi.

Budową swego ciała sprawiają kłopot zoologom, którzy nie wiedzą, gdzie te ptaki dołączyć, czy do bocianów i czapli, które brodzą, czy może do kaczek i gęsi blaszkodziobych, poszukujących pokarmu podobnie jak czerwonaki. Mają coś z jednych i drugich. Są dla nas zwierzętami egzotycznymi, łagodnymi i towarzyskimi jak wszystkie ptaki wodne. Na wolności żyją na wodach słonych, a więc morskich, a także na słonych jeziorach Afryki. Zasiedlają wybrzeża wszystkich kontynentów, z wyjątkiem Australii. Polubiły płycizny lagun i płytkie zatoki. W okresie lęgowym zbierają się w kolonie liczące po kilka tysięcy ptaków. Gniazda z mułu, podobne do talerzy, budują na grzęzawiskach i bagnach, do gniazd składają po dwa jaja. Czerwonaki potrafią podkurczyć swoje długie nożyska podczas kolejnego siedzenia na gnieździe. Młode rodzą się z „normalnymi", prostymi dziobami jak u bocianów. Są karmione przez oboje rodziców pokarmem znalezionym w mule zmieszanym ze specjalną wydzieliną wola. Gdy jednak przychodzi do starania się o pokarm własnym dziobem, ulega on charakterystycznemu załamaniu.

Flamingi między palcami mają błonę pływną, dlatego też potrafią dobrze pływać, choć chętniej brodzą. Odpoczywają stojąc na jednej nodze z głową schowaną na barkach między skrzydłami.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 150 zł,
półrocznie — 300 zł,
rocznie — 600 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (redaktor graficzny), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1988 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.
Zam. 2435/87 D-23
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-3511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

FLAMING

Fot. Michał Wlaziński

CENA 25 Zł